Styczeń w historii, literaturze i sztuce

Artur Grottger (1837-1867), Pojednanie, olej na płótnie. 21,3 x 28,8 cm, dawniej w Muzeum Sztuki we Lwowie. skradziony w

1992 roku
Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

Sosnowiec

Pierwszy miesiąc roku, styczeń ma dla mnie wielorakie oblicza. Jedno kształtuje się z wielowarstwowych pokładów narodowej historii, której ważnym elementem było powstanie 1863 roku. Wydarzenia tamtego heroicznego i zarazem tragicznego czasu powołały do życia nie tylko bliskie sercu karty dzieł literackich – wierszy, nowel i powieści – Norwida, Kraszewskiego, Orzeszkowej, Żeromskiego czy Piotra Choynowskiego, ale także – a może przede wszystkim – wstrząsające obrazy Artura Grottgera. To one zawładnęły wyobraźnią każdego wrażliwego Polaka, każąc mu snuć refleksje nad powikłaniami losu i skomplikowanymi prawami historii naszego narodu. Z grottgerowskich kartonów spoglądają na nas pełne ekspresji twarze uczestników potyczek z wojskami kozackimi, czujne oczy „kryjaków" przedzierających się przez gęstwiny ośnieżonej puszczy, postacie przerażonych kobiet i dzieci. Trudno zapomnieć obrazy przedstawiające spustoszone chaty i dworki, zimne mury wyludnionej nocą Warszawy, sznury poganianych na wschód zesłańców, zamykanie kościołów, aresztowania i „branki". Jedno z dzieł artysty – znane zresztą w kilku studyjnych wersjach – ma wymowę szczególną. Oto na leśnej polanie leżą martwi zbliżeni do siebie głowami: styczniowy polski powstaniec

i „sołdat” w szynelu – „pojednani” (jak głosi tytuł obrazu) w przestrzeni, która wymyka się już prawom historii.

Jest również dla mnie styczeń miesiącem, który – a było to ponad siedemdziesiąt lat temu – dawkował tak bardzo oczekiwane wiadomości idące różnymi drogami od stromy Warszawy. Tu, w zagłębiowskiej ziemi z drżeniem serca przeżywaliśmy zryw powstańczy (radość przemieszaną z niepokojem), przygnębienie spowodowane klęską, troskę zarówno o ludzi, jak też i o mury, o narodowe pamiątki stolicy. Wieść o wyzwoleniu Warszawy była kojąca, relacje o zniszczeniach tłumiły – niestety – euforię. Styczniowy śnieg i mróz, będący w normalnych czasach sprzymierzeńcem zimowych przygód i młodzieńczych szaleństw, w tym szczególnym 1945 roku miewał często smak i barwę krwi, mieszał się z dymami pogorzelisk.

W drugiej połowie stycznia przez cztery ostatnie doby okupacji baterie niemieckich ciężkich dział osadzonych na mocnych fundamentach na Górce Gzichowskiej w Będzinie bez przerwy zionęły ogniem w kierunku północnym. W tym piekle rytmiczny huk stawał się – to już paradoksalne – normą. Chwilowa przerwa, znaczona ciszą, zastanawiała i nawet niepokoiła, siedzieliśmy schronieni po piwnicach i w suterenach okazalszych domów wyglądając na zewnątrz, co się dzieje. A działo się to, na co tak bardzo czekaliśmy od września 1939 roku. Po drogach bitych i nawet polnych ścieżkach snuły się furmanki wiozące wraki

ludzkie, to co pozostawało z dawnych butnych nadludzi. Posuwali się ku zachodowi. Tym razem bez fanfar, bez blasku, bez zwycięskiego blichtru…

Styczeń 1945 roku miał przecież i sporo urody. Weszliśmy – już wtedy – do prawdziwie polskiej szkoły. Już z rozszerzonym językiem ojczystym, z historią, geografią, piosenką patriotyczną, zespołami recytatorskimi, w których programie – po raz pierwszy oficjalnie – przewidziane były teksty Mickiewicza, Słowackiego, Konopnickiej, Orzeszkowej, Żeromskiego i Wyspiańskiego. Co to była za radość, gdy w skróconej inscenizacji „Warszawianki" – ja, wówczas chudzielec, grałem rolę samego Chłopickiego. W skromnej remizie strażackiej recytowałem też wielekroć – właśnie w te zimne stycznie – podniosłe wersy naszego CZWARTEGO WIESZCZA:

> Teatr mój widzę ogromny,
>
> wielkie powietrzne przestrzenie,
>
> ludzie je pełnią i cienie,
>
> ja jestem grze ich przytomny.
>
> Ich sztuka jest sztuką moją,

> melodię słyszę chóralną,
>
> jak rosną w burze nawalną,
>
> w gromy i wichry się zbroją.

Podniosły ton Wyspiańskiego – właśnie urodzonego 15 stycznia 1869 roku – bardzo podobał się mnie i moim rówieśnikom, zacierał bowiem szarzyznę dni okupacyjnych.

Z tych dawnych styczniów, z minionych obszarów dzieciństwa, wraca mi co pewien czas sympatyczna melodia do słów (jak się później dowiedziałem) Marii Konopnickiej:

> Za tą głębią, za tym brodem
>
> Tam stanęła rzeka lodem;
>
> ani szumi, ani płynie,
>
> Tylko duma w swej głębinie:
>
> Gdzie jej wiosna,
>
> Gdzie jej zorza?

> Gdzie jej droga
>
> Het do morza?

Tekst Konopnickiej, owiany smutkiem i nostalgią, kończył się przecież pierwiastkiem nadziei: „Przyjdzie wiosna, przyjdzie hoża”. W owych ciężkich czasach taki prosty wiersz dla maluczkich miał wcale niemałe znaczenie. Smak zimy, smak wiosny, młodości i nadziei. A przysłowia zawsze mówiły ludowe, od wieków formułowane przysłowia: „Gdy w styczniu deszcz leje, robi złe nadzieje”; „W styczniu grzmoty, częste słoty”; „Jak styczeń zachlapany, to listopad zapłakany”.

Teraz, kiedy przypominam sobie te przysłowia, raz złowróżbne, kiedy indziej nieco filuterne, myślę o tym styczniu z 1863 roku, kiedy to nasi powstańcy, tak sugestywnie uwiecznieni w kartonach Artura Grottgera, poprzez właśnie słoty, dni „zachlapane”, przez śnieżyce przedzierali się duktami leśnymi i bezdrożami ku WOLNOŚCI. Ideowym spadkobiercą owych „Kryjaków” był Józef Piłsudski.

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

Zobacz też:

> Ostatnia podróż wieszcza

> Jesień w poezji i malarstwie

> Stanisław Wyspiański. Tradycja i uniwersalizm.